Cena 20 groszy.

DZWONKI

PISMO DLA DZIECI NIŻSZYCH KLAS SZKÓŁ POWSZECHNYCH

WARSZAWA
ROK 1



1 MAJA
1938

TRZECI MAJ

W dzień Konstytucji Trzeciego Maja,
w tę ważną dla nas rocznicę,
miasto się w barwne flagi przystraja
i tłum zalega ulice.

Oto już z dala pochód nadchodzi
przy dźwiękach pieśni wesołych,
w takt maszerują starzy i młodzi,
żołnierze, cechy i szkoły.

Idą jak wielka rodzina cała,
z zapałem w sercu jednakim,
bo Konstytucja wszystkich zbratała
pod Orła Białego znakiem.

A kiedy jedność kwitnie w narodzie,
żadna go siła nie zmoże!
Dajże nam zawsze w świętej żyć zgodzie,
Wszechwładny Panie nasz, Boże!

MARIA PROKOPOWICZOWA



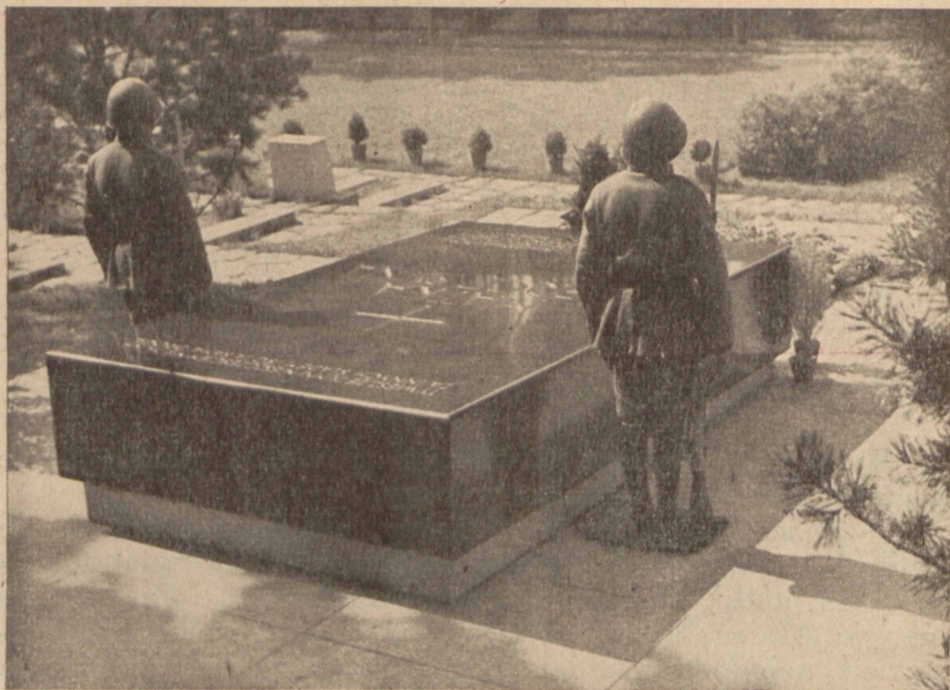
POLSKIE DZIECI

Rysia i Jerzyk są rodzeństwem, a kochają się bardzo. Jerzyk jest o dwa lata starszy od siostrzyczki, to też zawsze się nią opiekuje. Razem idą do szkoły i razem wracają. Tyle mają sobie do opowiadania, że choć mieszkają bardzo daleko, czas im się ani trochę nie dłuży.

Jerzyk był tego dnia bardzo zamyślony.

— O czym myślisz, Jerzyku? — pyta już drugi raz Rysia.

— Chciałbym być żołnierzem. Dziś w szkole czytaliśmy wyjątki z pism Marszałka Piłsudskiego „Moje pierwsze boje“. Marszałek wspomina tam jednego ze swych żołnierzy, młodego chłopca, który się cieszył, że został „ranny w ser-



Na Rossie. fot. Photo-Plat

ce". W pierwszej chwili Komendant nie chciał wierzyć jego słowom, bo żołnierz, choć ranny, w mundurze poplamionym krwią szedł o własnych siłach, opierając się tylko na karabinie. Na widok Marszałka sprezentował broń. Komendant zainteresował się tym niezwykłym wypadkiem i dowiedział się od lekarzy, że rzeczywiście kula przeszła żołnierzowi tuż koło serca; gdyby skurcz serca nie nastąpił w tej właśnie chwili, gdy kula ugodziła go w pierś, przeszyłaby je na wylot. Dlatego też powiedziano chłopcu, który taki był dumny z odniesionej rany, że został „trafiony w serce".

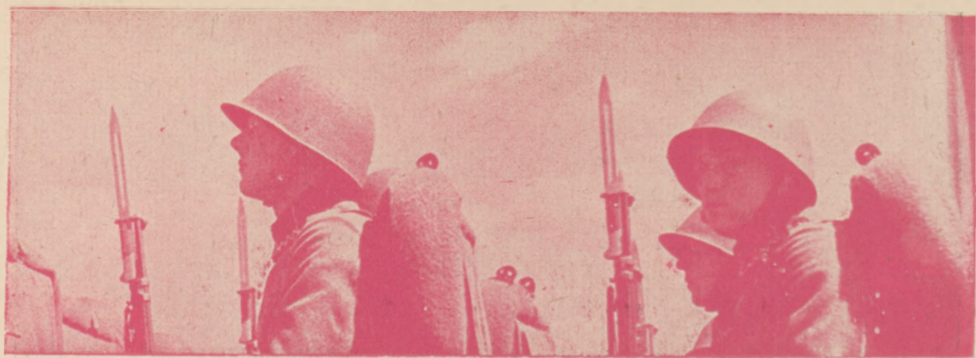
— Nic dziwnego, że Marszałek kochał takich żołnierzy — szepnęła Rysia.

A potem dodała:

— Cieszę się, że i kobiety będą miały w wojsku służbę zastępczą.

Jerzyk machnął lekceważąco ręką.

— To zupełnie co innego, to jakby zabawa w wojsko. Kto wie, czy nie będziecie nawet przeszkadzały mężczyznom; przecież ty zawsze uszy sobie zasłaniasz, kiedy strzelam z pistonowego rewolweru, a cóż dopiero, gdyby ci dali karabin do ręki.



Rysia ze wstydem odwróciła głowę, a potem nagle spojrzała Jerzykowi prosto w oczy.

— A jednak gdyby nie kobiety, nie dzielne matki, nie mielibyśmy takich odważnych żołnierzy. Cały świat obchodzi dzień matki! Dziś nam w szkole opowiadała Pani o dzieciństwie Marszałka. To Matka nauczyła Go kochać Polskę; od najmłodszych lat powtarzała codziennie swoim dzieciom słowa naszego poety: „Będzie Polska w imię Pana"... Właśnie dlatego, że tak polskie matki wierzyły, mamy teraz wolną Ojczyznę, własne wojsko, polską szkołę, powiedziała nam na zakończenie pani nauczycielka. Siedziałyśmy jeszcze długo cicho, choć było już po dzwonku.

Rysia z niepokojem patrzyła na Jerzyka, który ociągał się nieco z odpowiedzią, ale widząc łzy w oczach siostrzyczki, szczerze przyznał:

— No tak... Ty zresztą też jesteś odważna. Pamiętasz, kiedy rozciąłem sobie palec i krew płynęła, ty sama mi zrobiłaś opatrunek, a ja nawet... płakałem — dodał czerwieniąc się.

— To nic dziwnego, przecież cię bolało. O, podczas służby zastępczej nauczę się być prawdziwą sanitariuszką. Ale wiesz, Jerzyku, musimy teraz wymyślić coś bardzo pięknego dla naszej mamusi na dzień matki. Chyba nikt nie potrafiłby tak nas kochać i zawsze nam wszystkie winy wybaczyć.

Urwała się rozmowa dzieci. Przechodziły właśnie przez Plac Marszałka, obok Mogiły Nieznanego Żołnierza. Suchy dźwięk werbla zagłuszył na chwilę zgiełk uliczny.

— Zatrzymamy się — zadecydował Jerzyk. — To zmiana warty.

Chłopiec zdjął ze wzruszenia czapeczkę, a dziewczynka pochyliła głowę.

— Jerzyku — szepnęła Rysia — a może ten żołnierz też był ranny w serce, tak jak tamten z opowiadania Komendanta, tylko jego serce nie zdążyło się skurczyć i dlatego kula przebiła je na wylot? Pomyśl, i on miał matkę...

— Chodźmy prędko do domu — zawołał tak głośno Jerzyk, że aż ktoś się obejrzał. — Już późno, a przecież mamusia na nas czeka, może się niepokoi?

Gdy wrócili do domu, Jerzyk i Rysia rzucili się matce na szyję, jednocześnie szepcząc na ucho jakieś obietnice, od których twarz jej rozjaśniła się najradośniejszym uśmiechem.

ZOFIA KELUS-LIPKOWSKA

OD MAMUSI

Dostał Jaś na imieniny
bardzo dużo ładnych rzeczy,
bo jest pilny, no i grzeczny,
temu nikt wszak nie zaprzeczy.

Pokazuje swym kolegom
podarunki i wymienia:
koń drewniany jest od dziadzia,
książki zaś od wuja Henia.

Od kolegów samochodzik,
wózek pięknie malowany,
ale jeszcze mam szaliczek
własnej pracy mojej mamy.

To najmilszy podarunek,
choć na pozór rzecz to mała,
ale ileż długich godzin
mama nad nim pracowała!

Dla mnie mama się trudziła,
więc tym droższy być mi musi.
To najmilszy podarunek,
bo to przecież — od mamusi!

M. GROT.





— Śpij, śpij, syneczku,
już późna godzina.
Piesek już dawno
zasnął na kanapie,
i miś na półce
też spać już zaczyna.
Słyszysz, jak chrapie?

— Tak, tak, mamusiu,
lecz proszę, przyjdź blisko,
tak tu jest ciemno!
Siądź przy mym łóżeczku,
bo jeśli z kąta
wyjdzie robaczysko...
— Wstydź się, syneczku!

Jak może bać się
taki chłopiec duży!
Wiesz, że aniołek
strzeże grzecznych dzieci.
Bać się nie trzeba,
a gdy oczka zmrużysz,
wnet sen przyleci.

— Dobrze, mamusiu,
już nic się nie boję,
prędziutko zasnę
i wnet będzie rano.

Raz jeszcze rączki
ucałuję twoje...
— Dobranoc, synku!
— Dobranoc!

M. PROKOPOWICZOWA



POD SKRZYDŁAMI MATKI

Wiosenne słońce świeciło radośnie. Wszyscy cieszyli się z jego ciepłych promieni. Cieszyły się również małe żółte i czarne kulki: kurczątka, które dopiero kilka dni temu ujrzały świat. Troskliwa matka, pstrokata kwoka, ani na krok nie odchodziła od swego licznego potomstwa.

— Ko, ko, ko! Dzieci, trzymajcie się razem i nie oddalajcie się od mamusi, żeby wam kto jakiej krzywdy nie wyrządził! — upominała kwoka swoje małe urwisy.

— Oj, mamusiu — zapiszczał jeden kurczaczek — znalazłem jakiegoś potwora.

— Co to jest? Co to jest? Pi, pi, pi — z zaciekawieniem piszczały kurczęta.

— To dżdżownica. Jak urośniecie, będziecie się takimi potworami karmiły. Tymczasem będzie dla mnie — gdaknęła kwoczka.

— A tu inny potwór lata! Ojojoj! — zapiszczał kurczak.

Ten potwór, to była mucha. Kwoka schwyciła ją do dzioba i nakarmiła synka.

— Teraz oprowadzę was po podwórku — powiedziała. — Tam stoi buda psa, do której nie wolno się zbliżać.

— Dlaczego? — zapytał Ciekawski, ten kurczak, co chciał wszystko wiedzieć.

— Bo ten pies jest bardzo zły.

— A co on nam zrobi?

— To co ty zrobiłeś z muchą... Strzeżcie się także kota!

— Dlaczego? — znów spytał Ciekawski.

— Bo jest jeszcze gorszy niż pies. Niby miły, ale skrada się. Jest bardzo cichy, cichuteńki, a kto dostanie się do jego pazurów, ten już zginął.

— Mamusiu, to mamy aż tylu wrogów? — z przerażeniem spytał najmniejszy kurczaczek.

— O tak... Ale nic wam przy mnie nie zrobią!

Nim kwoka skończyła swoje pouczenia, jakiś ptak rzucił się na spacerującą małą rodzinkę.

— Do mnie, do mnie, pod skrzydła! — gdakała przerażona kwoka. — To wrona! Chowajcie się prędko!

Kurczaki potrącając jeden drugiego chowały się pod opiekuńcze skrzydła matki. W mgnieniu oka wszystkie kurczaki były w bezpiecznym miejscu, a nastroszona matka kwoka nie dała wyrządzić im krzywdy.

M. L.



Co Chochlik opowiedział dzieciom

Posłuchajcie teraz, co mówi kwoczka.
Gdy chodzi szukając ziarenek, wtedy prosi pokornie:
Całą rosę boso chodzę,
Daj mi buty, gospodaaaaaarz!
Ale skoro zniesie jajko, woła triumfalnie:
Zniosłam jajko pod kominem
Oto taaaaak... oto taaaaak!

O ile zaś w kurniku przesiadują stare koguty, średniaczki i młode, dopiero głosu dobywające koguciki, wtedy o wczesnym poranku słyszymy taką rozmowę:

— Wojacy jadąąąąąą,.. — woła stary kur.
— Co oni wioząąąąąąąąąąąą? — pyta średniak.
A młodzieniaszek odpowiada cieniutko:
— Pistoletyyyyy, pistoletyyyyy...

M. DYNOWSKA

O CZYM ŚPIEWAŁA WIERZBOWA FUJARKA

Na skraju łąki rosła stara wierzba. Pień miała tak wypróchniały, że dziw brał, iż cienka skorupa kory, która jedynie pozostała, może udźwignąć sękatą, wielką głowicę. Jak bujna czupryna wyrastały z niej młode gałązki.

Obok, w wilgotnym zagłębieniu, złociło się pólko kaczeńców z mięsistymi listkami. Uwijały się tu pszczółki, rade wysączyć miodek, który dla nich te miłe kwiateczki zostawiły. Buczał też srogo i trzmiel kosmaty, który udaje strasznie groźne stworzenie, choć nikomu krzywdy nie robi.

Koło kaczeńców ziemia się rusza. Przewraca się, jakby pługiem podziemnym orana. Wreszcie wynurza się spod ziemi ryjkowaty pyszczek z oczkami tak w sierści utopionymi, że ledwie je znać.

Ach, to pan kret wyjrzał na świat, co mu się nie często zdarza! Ale zaraz schował nosek pod ziemię, gdyż jego maleńkie, prawie niewidoczne uszka pochwyciły jakiś szmer.



Dwie osoby nadchodziły ścieżyną: Józuś, syn miejscowego gospodarza, i obcy, starszy od niego chłopiec w mundurku gimnazjalnym.

Gimnazista obejrzał się w koło, zatrzymał wzrok na wierzbie i rzekł do Józusia:

— Wszędzie za granicą sadzą w polu i przy drogach tylko owocowe drzewa. Pomyśl, jaki z tego pożytek! A u nas takie wierzby miejsce niepotrzebnie zajmują. Gdyby ta łąka była moja, zaraz bym ściął to spróchniałe drzewo.

Józuś nic nie odpowiadał, choć żal mu się zrobiło poczciwej, starej wierzby. Tamten zaś prawił dalej:

— Albo kaczeńce. Ta roślina żyje tylko na mokradłach. Należy łąkę osuszyć, a na ich miejscu możnaby siać zboże.

— Kiedy kaczeńce takie ładne — odezwał się Józuś.

— Dziecinny jesteś! Cóż z tego, kiedy nie ma z nich żadnego zysku. Widzę tu też kretowisko! Krety należy tępić, bo psują trawę — mówił dalej pewny siebie chłopak, podczas gdy Józuś wyciągnął z kieszeni kozik.

— A co chcesz zrobić? — spytał gimnazista zaciekawiony.

— Wytnę sobię fujarkę.

— To wytnij i dla mnie, mój kochany!

Józuś odciął dwie gałązki, po czym odeszli.

A wierzba się oburzyła. Zatrzęsła rosochatą głową i mruczała:

— Ot mędrek! tyle na mnie nawygadywał! Czy ja to już do niczego jestem? A w piecu czym palą? Moimi konarami, które co trzy lata obcinane, zawsze bujnie odrastastają. A koszyki z czego plotą? Z moich prętów! A płoty z czego grodzą? Z moich gałęzi! A ligawki, które dawnymi czasy z moich konarów robiono i trąbiono na nich tak głośno, że o pół mili było słychać? Starzy ludzie jeszcze

pamiętają, jak pasterze w ten sposób bydło zwoływali. Albo i fujarki. Wykręci to kto fujarkę z jabłonki czy z gruszy? Niech sadzą owocowe drzewa, owszem, ale dla mnie też miejsce znaleźć się powinno.

— Nam też — skarżyły się dygocząc na wietrze kaczeńce — tej odrobiny wody żałował. Chce, żebyśmy uschły! Dobrze, że Józuś ujął się za nami. Przecie bez nas wiosna byłaby uboższa o tyle ślicznego kwiecia! I krówki chętnie nas chrupią. A pszczółki też nas lubią...

— Uważam, że ten chłopiec jest niemądry i zarozumiały — odezwał się kret, wystawiwszy znowu nos z ziemi. — Za cóż nas, biedne krety, tępić? Że mnie ogrodnik z dworskiego ogrodu przegnał, nie dziwota, bom grządki burzył, ale tu, na łące, co ja komu szkodzę? A za to zjadam tyle podjadków, pędraków i gąsienic. Ot, niedorostek! Liznął coś niecoś nauki i wygaduje nie wiedzieć co!

— Już on zmądrzeje! — odpowiedziała wierzba. — A wiecie, kto to sprawi? Moja fujarka! Przykazałam jej, żeby go nauczyła, cośmy warci.

Gimnazista wrócił nazajutrz do miasta i zaczął grać na fujarce. Z początku trudno mu szło, ale wnet się wprawił. Gdy tak sobie wygrywał przymknąwszy oczy, widział przed sobą rozczochraną wierzbę, ukwieconą cudnie łąkę, urocze złote gwiazdki kaczeńców i pachnące świeżą ziemią kretowisko. Słyszał w tonach fujarki miły szum gałązek wierzbowych i dźwięczny chór pszczółek z wtórem trzmielego basu.

Wtedy pojął, że zniszczyć to wszystko tylko dla zysku, to jednak byłaby szkoda.

ANNA WAJDOWA

SZARADA

P i e r w s z e — t r z e c i e, chociaż małe,
już polują przez dzień cały
na zajączki, na ptaszęta...
Cała klasa niech pamięta
brać do szkoły d r u g i e — t r z e c i e
lub tornistry, o tym wiecie!
W s z y s t k i e stroją z wiosną drzewa,
ptaszek wśród nich pięknie śpiewa,
cień mu ścielą nad gniazdeczkiem.
No, zgadnijcie: to . . . .

GRUBY  GRZEŚ

(Dokończenie).

To mówiąc zaczął opróżniać tornister oraz przepastne kieszenie palta i ubrania, a zawartość kładł na łóżku Rybki. Wydobył ze dwa kilo jabłek, dwie tabliczki czekolady, cztery pomarańcze, torebkę cukierków, słoik z miodem, paczkę pierników, wiązkę fig i jedną cytrynę.

— Chłopie, co ty wyprawiasz? — dziwił się chory. — Przecież przywlokłeś tu cały kram. Na co to? Po co?

Grześ odsapnął i rzekł:

— To dla ciebie.

— Co? Dla mnie? Żartujesz chyba.

— Nie gadaj głupstw, nie udawaj... bierz i zjadaj, co ci się najwięcej podoba.

— Ależ...

— Cicho bądź! Nie przeszkadzaj, bo sobie pójdę. Dzielę się tylko tym, co mi przysyłają z domu. Przecież i tak tego nie zjem, bo za dużo. I tylko bym jeszcze utył.

— Dziękuję ci... bardzo...

— Nie ma za co. No, nie mówmy o tym. Opowiem ci, co się dzieje w szkole.

I zdjąwszy z siebie płaszcz, dwa szale, kurtkę skórzaną, wełniany sweter, kalosze i rękawice, Grześ usiadł na stołku



i zaczął opowiadać. Snuł przed chorym kolegą historię wszystkich dni od chwili zachorowania Rybki. Nie zapomniał o niczym. O każdym coś powiedział. O nauczycielach, o dyrektorze, o woźnym, o każdym chłopcu z osobna i o wszystkich razem.

Rybka tymczasem zatopił zęby w soczystym jabłku i „ćwiczył je", aż mu się uszy trzęsły.

A gruby Grześ opowiadał i opowiadał.

Gdy już zaczęło się ściemniać, przyszła matka chorego chłopca. Stanęła w progu i aż klasnęła z podziwu, a potem ze wzruszenia rozpłakała się i Grześ ją musiał pocieszać. Szybko zagrzała się herbatka, na talerzykach ukazały się pierniki, no i zaczęła się uczta.

Odtąd przez całe dwa tygodnie gruby Grześ odwiedzał Rybkę, choćby w najgorszą pogodę, póki chory kolega nie wyzdrowiał. W szkole nikt o tym nie wiedział. Raz tylko ktoś zagadnął kolegów:

— Czy nie uważacie, że Grześ jakoś chudnie?



Dopiero gdy Rybka wrócił do klasy, opowiedział o wszystkim. Mówił, że gdyby nie zacny kolega, bardzo by mu było smutno i trudno by mu było dać sobie radę z lekcjami. A przy jego pomocy wszystko odrobił.

— Niech żyje Grześ! — zawołał ktoś i cała klasa odpowiedziała chórem: — Niech żyje!

Odtąd wszyscy polubili grubego Grzesia. Zresztą tracił on coraz szybciej swoją chorobliwą tuszę. Rybka, najlepszy sportowiec w klasie, zabierał go na spacery, ćwiczył w grach i biegach. Teraz każdy o nim mówi:

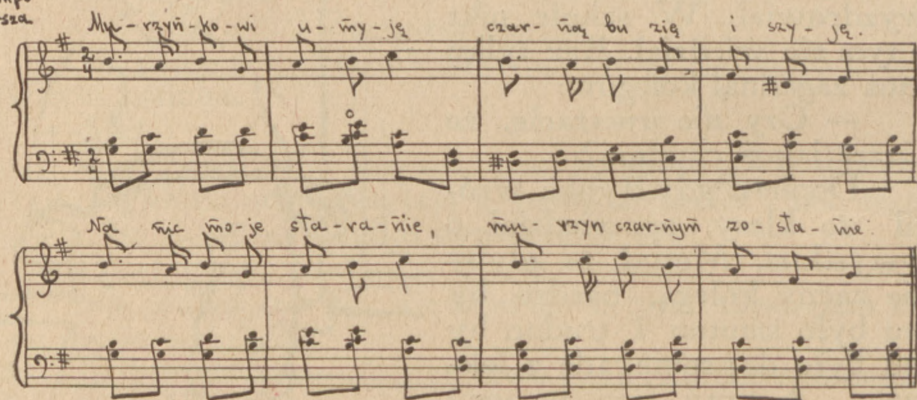
— Nasz Grzela, to porządny chłop!

ST. STRUGAREK.





Słowa Z. KELUS - LIPKOWSKIEJ. Muzyka A. WIELHORSKIEGO.



Murzynkowi umyję
czarną buzię i szyję.
Na nic moje staranie,
murzyn czarny zostanie!

Do dołu i do góry
włos się kręci jak wióry;
na nic szczotki, grzebienie,
zawija się w pierścienie.

Oj! to małe straszydło,
na nic szczotka i mydło,
na nic moje staranie:
murzyn czarny zostanie!

Marsz dla dzieci najmłodszych. Przed śniadaniem w przedszkolu zawsze dzieci winny umyć ręce, można to więc urozmaicić. Dzieci ustawiają się parami, poprowadzi je „dyżurny" — murzynek, który stoi sam na czele. Dzieci śpiewają piosenkę, naśladując w marszu ruchy mycia. Dziecko, które najdokładniej, szybko i bez chlapania na podłogę umyje ręce, zostaje na drugi dzień „dyżurnym" i poprowadzi dzieci jako murzynek do umywalni. Kolejność tę wyznaczy przedszkolanka.

Można również zabawę tę poprowadzić, jako „naśladowczą", a więc ustawić dzieci w kole, wybrać spośród nich murzynka, który będzie odpowiednio do słów piosenki wykonywał różne ruchy. Na zakończenie zrobić marsz dookoła pokoju.

 WANDA PRZYSIECKA

ZAGADKA.
(nadesłał Janusz Surmiński).

W dwóch rzędach spokojnie stoją
baranki białe,
czerwony byczek pośrodku
bryka dzień cały.



DRODZY PRZYJACIELE!

Bardzo dziękuję za kartkę *Januszowi Surmińskiemu w Morgach.* Ale za krótko napisałeś. Twoją zagadkę oddałem pani redaktorce; może będzie wydrukowana, przeglądaj uważnie „Dzwonki". Napisz mi, jak wygląda Amorek i czy Burek mile przywitał kolegę.

Zosi Sowilskiej we Lwowie donoszę, że Tuptuś, którego mi tak ładnie narysowałaś, jest trochę podobny do mnie. Bardzo żałuję, że nie możemy się zapoznać. Czy on też czytuje moje przygody?

Bogdan Tawuła w Warszawie zaprasza mnie na kość od szynki. Nie jestem już w Warszawie, tylko w Psich Budach. A dlaczego wyjechałem z Warszawy, o tym Wam opowiem w ostatnim numerze. Ale dziękuję Ci za pamięć, Bodziu kochany! Ściskam serdecznie Wasze łapki

FIGIELEK

WARUNKI PRENUMERATY „DZWONKÓW"

	poj. egzemplarze	półrocznie	rocznie
w Polsce	20 gr	2.00 zł	3.60 zł
za granicą	30 gr	3.00 zł	5.40 zł
w St. Zj. Ameryki Pn. .	—	—	1,5 dol.

Na tych samych warunkach można zaprenumerować dwutygodnik dla dzieci wyższych klas szkół powszechnych p. t. „Młody Polak". Konto P.K.O. dla „Młodego Polaka" jest inne, a mianowicie: 11.044.

Prenumeratorom, zamawiającym naraz 10 lub więcej egzemplarzy jednego numeru, dodajemy 1 egz. bezpłatnie przy każdych opłaconych 10 egz.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Chmielna 58, Nr. telefonu redakcji i administracji: 6-93-65. Redaktorka przyjmuje w środy od godz. 17 do 19 i w soboty od godz 12 do 14. Rękopisów się nie zwraca. Administracja czynna codziennie od 12 do 13. Konto **P. K. O. 13066.**

Redaktorka: **Maria Niklewiczowa.** Wydawca: za Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — **Antonina Tyszkowska.**

Drukarnia Wzorowa — Warszawa, Długa 20, tel. 11-16-60.

PRZYGODY FIGIELKA

(Ciąg dalszy).

Mapkę zrobił pies znajomy
znacząc drogę, place, domy.

Chyłkiem, cicho, wzdłuż kamienic
suną wielce zatrwożeni...

Wtem już bramy zamykają!
Biedne pieski smutne stają.

To ten numer i ulica,
lecz jak wejść do kamienicy?

Przyszła pani, a z nią syn
i do bramy: dzyn! dzyn! dzyn!

Otworzono... pani idzie,
za nią pieski. Nikt nie widzi!

(D. c. n.).